

Maria Jarosz-Kujawiak

Może ich pan powiesić...

Rocznik Chojeński 3, 243-246

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MOŻE ICH PAN POWIESIĆ...

Początek tradycyjny... Nie ma teleranka... Z duszą na ramieniu udaję się na niedzielną mszę, aby zasięgnąć informacji. Jest dobrze, z naszych nikogo nie internowano. Rozmawiam za pomocą kolejowego telefonu z mężem, dyżurującym w szpitalu w Szczecinie. Też spokój. Przepisują ulotki i rozprawdają po zakładach. W użyciu wszystkie maszyny do pisania. Władza zapomniała o istnieniu kolejowej linii telefonicznej. Więc poszło w Polskę ze Stoczni Gdańskiej! W poniedziałek otrzymuję od męża trzy ulotki z poleceniem dostarczenia do naszej lokalnej delegatury. Jedna z nich zawierała ogólnopolską listę internowanych, na drugiej były nazwiska internowanych ze Szczecina i okolic. Trzecia była zwykłą odezwą, nawołującą do strajku generalnego. Widok znajomych nazwisk na obu listach zmartwił mnie. Oczywiście potraktowałam to jako ostatni rozkaz i natychmiast przystąpiłam do realizacji polecenia. Wybrałam drogę pośrednią. Wręczyłam to jednemu z członków z prośbą, aby przekazał przewodniczącemu Solidarności największego lokalnego zakładu pracy. W kilka dni potem rozeszła się wiadomość, że osoba, do której te dokumenty skierowałam, została aresztowana. Wśród znajomych krążyć zaczęły różne niesamowite wieści o powodach aresztowania. Dla mnie też wydawało się wręcz nieprawdopodobne, aby przyczyną aresztowania było posiadanie tych trzech ulotek. Ale po kilku dniach aresztowano pośrednika tego przekazu. Na ucho szeptało sobie, że mieli broń,

* Maria Jarosz-Kujawiak – pediatra, lekarz medycyny pracy i medycyny sportowej. Ur. w 1951r. w Dębnie. Przez cztery lata mieszkała w Brwicach, potem w Chojnie. Tu ukończyła szkołę podstawową i liceum. W latach 1969–1975 studiowała na Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie. Potem pracowała w poradni dziecięcej w Chojnie, następnie jako kierownik Przychodni Kolejowej. Po reformie w służbie zdrowia, prowadziła prywatną praktykę w Poradni Medycyny Pracy i Sportu w Chojnie. Swoje doświadczenia zawodowe, prezentowane w „Gazecie Chojeńskiej” i „Vox Medici”, wydała Redakcja „Medicina Sportiva” w formie zbioru *Z doświadczeń lekarza praktyka*. Główne zainteresowania to literatura piękna i książki podróżnicze, a od kilku lat podróże do ciekawych miejsc na świecie. Zafascynowana przyrodą, wolny czas spędza na działce bądź w lesie.

że posiadali listy z osobami, które należało powiesić. W domu ustaliliśmy, że całość sprawy biorę na siebie, czyli wykradłam te ulotki mężowi, który zamierzał je przekazać do lokalnego komitetu partii. No i przyszli do nas. Z nakazem rewizji. Pozwolili mi zatelefonować do męża, aby pozostawił naszą dziewięcioletnią córkę u dziadków. Zapytali mnie, czy mam coś nielegalnego.

– W myśl aktualnie obowiązujących przepisów, chodzi chyba o literaturę zakupioną w delegaturze? – powiedziałam.

– Też – potwierdzili.

– To może ja od razu wydam to, co posiadam.

Zależało mi bardzo na spokojnym załatwieniu sprawy, bo w jednej z szaf była myśliwska broń męża bez wymaganego zamknięcia. Udało się. Nie wszystko kontrolowali, do szafki z bronią nie doszli. Uff, odetchnęłam. Nie, to nie koniec... Po pewnym czasie otrzymałam wezwanie do prokuratury. Wojskowy prokurator powiedział, że moi koledzy siedzą z powodu tych ulotek.

– Dlaczego? Tam przecież nie było nic groźnego – powiedziałam zdumiona niepomrotnie. – A nie za posiadanie nielegalnej broni i za jakieś listy z osobami do...? – tu zaczęłam się jąkać.

– Nie – tym razem zdębiał prokurator – nie, głównie to ta ulotka wzywająca do strajku generalnego!

– Taki powód? Ale to przecież zupełny absurd. Ten tekst jest w naszym statucie. To przecież nic nowego! – zawzięcie perorowałam.

Prokurator wojskowy wyszedł, pozostała pani prokurator. Wezwała milicjantów. Weszło dwóch takich wielkich, że patrząc im w twarz, widziałam sufit. Prokurator odczytała, że w imieniu... obligatoryjnie... z artykułu 46, punkt 1 dekretu o stanie wojennym... jestem aresztowana.

A ja, wyglądająca jak mysikrólik przy mastodontach, nastroszyłam piórka, zaczerpnęłam powietrza i powiedziałam głośno i dostojnie hasło, które widniało na wychodzącym w tamtym czasie piśmie *Kwadrat*: „Niech prawo – prawo znaczy, a sprawiedliwość – sprawiedliwość”. Do chwili obecnej, gdy przypominam sobie ten groteskowy obrazek, ogarnia mnie niesamowite rozbawienie. Te dwa olbrzymy pewnie wtedy myślały to, co ja teraz. Nie zakuli mnie w kajdanki, nie trzymali za ręce. Tylko powiedzieli: „Idziemy na komendę”. No i poszliśmy... W areszcie komendy powiatowej było bardzo zimno. Ciągłe przyjmowali aresztantów. Czekanie na pozwolenie skorzystania z toalety trwało naprawdę długo. Na tyle, że w końcu zirytowana powiedziałam: nie życzę panu tak długiego oczekiwania na kaczkę w szpitalu. Późnym wieczorem dotarł do mnie jakiś wdzięczny za leczenie milicjant. Dostarczył mi ciepłej herbaty i paczkę papierosów (wtedy jeszcze paliłam). Rano transport milicyjną suką do Aresztu Śledczego w Szczecinie. Również bez kajdanek, a nawet umieszczona zostałam w części

dla konwojentów i kierowców. – W tej tylnej okratowanej części mogłaby pani zamarznąć – powiedział konwojujący. Dał mi „Głos Szczeciński” ze słowami: „Przyda się”. Do dzisiaj pamiętam wielkie zdjęcie Breżniewa i informację o jego urodzinach. W areszcie na Małopolskiej było przyjemnie ciepło. Zamarzyła mi się kąpiel w ciepłej wodzie, czułam się skostniała po pobycie w powiatowym areszcie. Poprosiłam o to klawisza, w końcu nie myłam się już całą dobę. Odpowiedział, że regulaminowo w dzisiejszym dniu nie jest przewidziana kąpiel, ale zapyta przełożonych. Po otrzymaniu zgody polecił udać mi się do kąpieli razem z towarzyszką. – Dlaczego razem? Odpowiedział żartobliwie: – Woli pani ze mną?

Po kąpieli już prawie z uśmiechem poprosiłam go o lusterko: – Chcę zobaczyć jak wygląda twarz człowieka w więzieniu.

Odsunął szufladę w poszukiwaniu lusterka. Zauważyłam znaną mi z dzieciństwa książkę Kornela Makuszyńskiego *Bezgrzeszne lata*. Ciekawe połączenie! Taki tytuł i to więzienie! Specyficzny zestaw. Poprosiłam go o pożyczenie książki. Pożyczył.

Ale nie wiedziałam, co w domu. To, po momentach wesołości, powodowało taki samoistny bezgłośny wyciek łez, że po kilku godzinach czułam ogromne pragnienie. Odwadniałam się w tempie przyspieszonym. Poprosiłam o herbatę. Bez problemu otrzymałam duży kubek. Współlokatorka z celi zaczęła mi opowiadać, jak odbywały się pierwsze aresztowania. Były to nauczycielki, pluły na obsługę więzienia i wyzywały od najgorszych. Nikt ich nie bił, ale gdy prosiły o dodatkową herbatę odpowiadano, że otrzymały już przewidzianą regulaminem ilość. Strugi ciekących bezgłośnie łez uspiły czujność mojej towarzyszkii z celi. - Proszę napisać list do domu – radziła. Nie mogłam jej powiedzieć, że być może domu już nie mam. Szepnęłam tylko: - Ale to taki wstyd, list z aresztu.

Moja współlokatorka powiedziała: - Nie mogę pomóc, ja tu tylko sprzątam. Udałam, że nie usłyszałam jej słów. Była to dobra lekcja życia.

Po 48 godzinach wypuszczono mnie z aresztu, otrzymałam zarzut, ale odpowiadałam już z wolnej stopy. Po roku proces naszej trójki zakończył się uniewinnieniem.

Pamiętam jeszcze inny epizod. Gdy już wróciłam do pracy po zwiedzeniu okolicznych aresztów, poradnię dziecięcą odwiedził komisarz. Na drugi dzień otrzymałam wezwanie do urzędu. Pan komisarz siedział za biurkiem, na stole demonstracyjnie leżał wyjęty z kabury duży pistolet. Na mnie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Być może pomagał mi tu medyczny sposób rozumowania. Pomyślałam, że on też nie czuje się pewnie. Komisarz powiedział, że zauważył święty obraz w gabinecie poradni dziecięcej. - Naprawdę? Ten malutki obraz matki z dzieciątkiem wiszący tak nisko obok biurka? – byłam zdumiona spo-

strzegawczością mego rozmówcy. - Proszę go zdjąć – powiedział. - Nie zdejmę, to symbol macierzyństwa, oddający atmosferę tego miejsca. - Ale nie ma w gabinecie godła - odpowiedział. - Dobrze, powiadomię moje władze i powiesimy.

W końcu, przy mojej stanowczej odmowie wykonania jego polecenia, powiedział:

- A gdyby w kościele powieszono portrety Marksa, Lenina i Engelsa, to co pani na to?

- Ależ proszę bardzo, może ich pan wszystkich powiesić – ugodowo i z uśmiechem odparłam.



Fot. 1 Święto Stronnictwa
Demokratycznego, 3.05.1981.
Od lewej: NN, Jan Jarosz,
Jan Litwiniuk, Maria Jarosz-
Kujawiak.